№ 53. Warszawa, dnia 18 (30) Grudnia 1876 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Gawędy Naukowe.

CZŁOWIEK PRZEDHISTORYCZNY

przez H. K.

(Dokończenie).

Sztuki piękne. — Pokarmy człowieka przedhistorycznego. — Grzebanie zmarłych. — Starożytność rodu ludzkiego. — Czas pojawienia się jego na ziemi czy może być oznaczony? — Zdania geologów. — Lasy Danji. — Zakończenie.

Narzędzia wszystkich władz umysłowych znajdują się w mózgu człowieka, którémi rozporządza stosownie do potęgi swego ducha. W jutrzence towarzyskiego życia umysł jego ulega już działaniom wyobraźni. Zdaje się iż człowiek poetą i artystą się urodził. Zaledwo jakieś niezgrabne narzędzie ma w ręku, już je do rzeźbiarstwa i rysunku używa. Natura wzory mu podaje, na kawałkach kości, na odłamach gładkiego kamienia lubi przedstawiać głowy ryb, niedźwiedzi, jeleni lub żubrów. Wydrąża rogi jelenie i tworzy z nich naczynia do picia. W braku narzędzi rękami tylko wyrabia z gliny z kwarcem zmieszanej pierwsze garnki i miski, których mnóstwo szczątków teraz znajdujemy, jako cenne zabytki ceramiki w kolebce swojej. Później nieco, glina staranniej wymieszana, obrobiona na kole a wysuszona na słońcu, przedstawia nam naczynia zbliżające się już kształtem do teraźniejszych prostych wyrobów garncarskich. Czasami ucho zgrabniej ulepione lub ozdoba gustowna nadają mu cechę artystyczną. Kształt ich bywa różny stosownie do użytku, amfory, miski, naczynia do stawiania przy ogniu przeznaczone, na niczem nie zbywa owym dawnym plemionom, oprócz niepotrzebnych a kosztownych przedmiotów wieków późniejszych, które zbytek umiał koniecznemi uczynić.

Jednak człowiek niedługo poprzestawał na swym prostaczym przemyśle. Potrzeba okrycia się, stworzyła grube tkaniny, których szczątki w osadach jeziornych poznajdywano, ale wraz za nią zrodziła się i potrzeba strojenia; co zaś do chęci podobania się, ta zapewne z pierwszą kobietą na świat pojawić się musiała. Zrazu nagi człowiek, okrywa się skórami zwierząt, poszczepianemi za pomocą włókien roślinnych lub ścięgn zwierzęcych; następnie tę prostą odzież zastępują grube tkaniny, włosy podnosi do góry za pomocą śpilek kościanych, piersi obciąża naszyjnikami z kłów zwierząt drapieżnych, a palce kościanemi pierścieniami ozdabia. Najprzód przewierca dziury w drobnych muszelkach, w dobranych kłach niedźwiedzi, wilków lub lisów, nawleka je na cienki skórzany pasek i niemi się przyozdabia; później towarzyszka jego, po przejściu epoki kamiennej, nie znajduje te klejnoty godnemi siebie, stroi się w spinki, kolce, naszyjniki i bransoletki bronzowe.

Pomniki i ruiny starożytnego Egiptu milczą dotąd przed nami co do życia ludu swego, aby tylko o kilku królach opowiadać i sławić ich czyny, szczątki zaś jeziorne i inne ludów pierwotnych, szczodrze nam udzielają wiadomości co do najdrobniejszych szczegółów ich życia, nawet orzechy próżne i dziurkami opatrzone znajdywane w mule przy osadach jeziornych, służyły zapewne matkom do zabawiania swoich niemowląt.

Niewiadomo czem człowiek żywił się wyszedłszy z rąk matki przyrody; nie wiemy czy był roślinożernym, czyli też mięsożernym, to tylko pewna, że koniecznie go do tego zmusiły. *Kjoekkenmoeddings'y* Danji o których wspominaliśmy przedtem, dają nam dokładną wiadomość z czego się składały uczty ludzi przedhistorycznych w tych krajach. Ostrygi były podstawą ich pokarmów; ryby, niektóre mięczaki zwyczajne, ptastwo wodne, kaczki i cietrzewie które często na stołach ich się pojawiały, dają dobre wyobrażenie o ich gastronomicznych usposobieniach. Jadali także mięso wołów pierwotnych, reniferów, sarn i jeleni, ale nie gardzili wydrą, fokiem, rysiem, wilkiem, lisem, nawet i psem domowym. *Kjoekkenmoeddings'y* nigdzie nie zawierają ziarn zbożowych, co daje przekonanie że chleb tym ludom wcale nie był znanym. W tejże epoce mieszkańcy jeziorni Szwajcaryi niezawodnie mieli go w użyciu, licznie znajdywane ziarna zbóż, o których mówiliśmy już, świadczą o tem. Nareszcie tamże, jezioro Pfeffikon dostarczyło nauce i chleba zwęglonego kawałek wraz z rozmaitemi owocami.

Godnem jest uwagi, iż pomiędzy licznemi szczątkami zwierzęcemi znajdywanemi w mułach jeziornych, znaleziono w jednym jedyną tylko kosteczkę zająca; daje to do myślenia iż mieszkańcy osad nawodnych zwierzęcia tego na pokarm nie używali, może wstrzymywani przesądem takim jaki dotąd panuje pomiędzy Lapończykami i innemi ludami północy, a o którym i Julijusz Cezar wspomina jako istniejącym w Bretanji za jego czasów.

Nie możemy odejść od stołu ludzi przedhistorycznych nie przekonawszy się, iż piekli i mięso którem się żywili; popioły, węgle, kości nadpalone znajdywane w *Kjoekkenmoeddings'ach* i w mułach jezior na których osady nawodne się wznosiły, zbyt wyraźnie przekonywają o tem. Kilka wprawdzie jaskiń zawierających ślady ludzkie i szczątki pokarmów, żadnego znaku ognia nie przedstawiają, z czegoby wnosić należało, że niektóre plemiona mogły żywić się i surowem mięsem, jak to czynią dziś Abissyńczyki i Samojedy.

Zbadawszy po kolei rozmaite zajęcia jakie zapełniały życie człowieka w tych odległych epokach, odprowadźmy go nareszcie aż na miejsce ostatecznego spoczynku i złóżmy go do grobu, który także prze

chował nieraz jego prawdziwie cenne, dla nauki naszej szczątki.

W epokach przedhistorycznych grzebano ciała zmarłych w niewielkich pieczarach na ten cel przeznaczonych, których otwór ciężkim przywalano kamieniem. Tam układano je w postawie siedzącej i skurczonej, z brodą opartą na kolanach, z ramionami nieco ku głowie podniesionemi i założonemi na piersiach. Obok nich składano broń i narzędzia których nieboszczyk zwykł był używać, a przytomni dary w podobnym rodzaju. Groby takie nie w jednem miejscu odkryto.

Badania pozostałości osad nawodnych w Szwajcaryi, dają nam oprócz tego wiadomość, że te prawie wszystkie wioski prastare zaginęły w owych oddalonych czasach w skutek gwałtownego zniszczenia i pożarów; a ztąd i pewność że klęski wojny poprzedziły rozwój cywilizacyi.

W Ameryce, w Azyi i Indyach ślady człowieka przedhistorycznego nie ukazują nam przejść tak gwałtownych: inaczej dziać się musiało w Europie, gdzie okropne wypadki zmieniały zapewne postać ludzkości.

Osady nawodne zniszczone zostały przez wojny, zanim jeszcze zrodziła się historya: ludy Helwecyi uległy pod ciosami silniejszych, a topory kamienne zostały strzaskane przez bronzową broń przybyszów, którzy z łatwością stali się panami osad jeziornych. Podobnie Fernand Cortes zawładnął Meksykiem na czele garstki ludzi, uzbrojonych w okropne narzędzia ogień i śmierć roznoszące daleko.

Aż dotąd mówiliśmy tylko o wiadomościach jakie dostarczyły nauce badania osad jeziornych Szwajcaryi; i rzeczywiście one to pierwsze dziennem światłem oświeciły przeszłość zamierzchłą. Ale od tych prac pierwszych nauka o czasach przedhistorycznych niezmierne uczyniła postępy, i niestrudzeni badacze, na jaw odkrywając we wszystkich krajach cywilizowanych ślady ludzi pierwotnych, doprowadzili nas do pewności iż historya tych epok odległych dzieli się na wielkie peryody, długie szeregi wieków bezwątpienia obejmujące.

Napływowe osady czwartorzędnej epoki czyli *diluwialne*, przedstawiają najprzód narzędzia niezgrabne z kamienia zaledwie obrobionego, wyroby tylko co rodzącego się przemysłu. Po ukształtowaniu się dolin naszych i przed zniknięciem fauny czwartorzędnej, niezawodną jest rzeczą iż plemię myśliwców zamieszkiwało po pieczarach nie posiadające innych narzędzi i broni, nad wyrabiane z kości i krzemienia. Ludzie ci musieli być intelligentni i obdarzeni poczuciem artystycznem, czego dowodem są ślady rzeźb któremi umieli zdobić wyroby swoje. W muzeum St. Germain łatwo przekonać się o tem.

Jaskinia Magdaleny we Francyi dostarczyła wiele okazów tego rodzaju niezmiernie ciekawych, między innemi szeroką nieforemną tabliczkę z kości słoniowej na której ostrem narzędziem, oczywiście krzemiennem, starano się przedstawić mamuta. Rysunek wcale jest poprawny i wyraźny, artysta musiał widzieć i znać dobrze to zwierzę, gdyż wszystkie jego cechy zachował; kły w górę zakrzywione, a szczególnie długą grzywę i ogon o długim włosie. Jest to bardzo wyraźny mamut na kawałku może własnego kła wyrytowany. Poczucie artystyczne ludzi owej epoki nietylko na kościach się produkowało: w podobny sposób daje się ono widzieć na rogach jelenich i reniferowych, a nawet i na kamieniach. W tejże jaskini znaleziono kamyk czarny z dziurką do zawieszania, na którym usiłowano przedstawić renifera. Tamże odkryto rodzaj berła a raczej buławy wodza, na której z jednej strony wyryte są dwie głowy żubrów, z drugiej rodzaj węgorza a przed nim idący człowiek nagi z kijem na ramieniu.

Przedmioty tego rodzaju niewiadomo dokładnie do jakiego użytku służyć mogły. Znajdują się one dość obficie, same jaskinie Perigordu kilkanaście ich dostarczyły. Bywają staranniej wyrobione i bogaciej rzeźbami ozdobione, aniżeli wszelkie inne ówczesne przedmiota, najwięcej z reniferowych rogów z jedną lub dwoma dziurami na wskroś przewierconemi. Mniemają że musiały one być oznaką jakiej godności lub władzy. Najciekawsze dwa okazy z pomiędzy wielu znajdujących się w Muzeum St. Germain, całe są pokryte rysunkami przedstawiającemi nie dobrze określone zwierzęta i ryby różne. Francuzi „bâtons de commandement“ je zowią.

Berła te a także ostrza oszczepów wyrobione wrogu, miewają ozdoby ze strychów, arabesków, i t. p., najczęściej jednak przedstawiają istoty organiczne, szczególnie zwierzęta. Ważny to i ciekawy objaw sztuki. Zapewne jest to sztuka bardzo pierwotna, bardzo prostacza, ale też i bardzo prawdziwa. Rytownicy i rzeźbiarze owego czasu mieli wielkie poczucie formy a nawet i proporcyi. Bylito prawdziwi artyści w duchu. Dowodem tego jest kawałek rogu jeleniego we wspomnionem muzeum znajdujący się, na którym przedstawiona głowa jelenia z wielką delikatnością a nawet poprawnością rysunku.

Doktór Garrigou, już przez nas wspomniany, geolog zamiłowany w nauce, posiada w Tarascon znakomity zbiór przedmiotów z czasów przedhistorycznych. Tam jest ciekawy kamyk na którym artysta usiłował przedstawić niedźwiedzia jaskiniowego (Ursus spaeleus) a rysował go z natury, gdyż cecha odróżniająca go od teraźniejszych niedźwiedzi, oprócz wzrostu, a mianowicie czoło bardzo wypukłe, dokładnie jest oddaną, a zwierz ten jak wiemy żył tylko w czwartorzędnej epoce i bardzo był pospolity.

Nie mamy dość miejsca ażeby mówić obszerniej o broni, narzędziach i mnóstwie ciekawych przedmiotów z owej epoki, nagromadzonych w Muzeum Saint Germain i równie bogatym Sztokholmskiem. Tysiącami one się tam znajdują, począwszy od siekier i młotów najprostszych, aż do najstaranniej wygładzonych nożów kamiennych i grotów do strzał, kształty też ich są bardzo rozmaite. Broń i inne przedmioty z kości na równą zasługują uwagę. Ciekawym bardzo jest grzebień o siedmiu zębach z długą rączką, z kości wyrobiony a znaleziony w Danji.

Zastanawiliśmy się już jakiej pracy wyrobienie takich przedmiotów wymagać musiało. Otóż jeden z teraźniejszych miłośników, p. Reboul, ażeby zdać sobie dokładną sprawę z tego, podjął się jej i z niezmierną wytrwałością doprowadził do skutku. Potrafił on wyrobić, mając wzory przed oczyma, siekiery, piły i noże ludzi pierwotnych, nieużywając do tego tylko samych kamieni, osadzić je za pomocą wiązadeł ze skóry i używać do rąbania drzewa, zdejmowania skóry z wołu, płatania go na ćwierci i t. p.

Po epoce kamienia ogładzonego, który się kończy na narzędziach z wielkiem staraniem i zręcznością niepospolitą wyrobionych i z materyałów doborowych, ukazuje się powoli epoka bronzu z przedmiotami prawdziwie wdzięcznemi i godnemi uwagi; tych liczba zaś i rozmaitość jest tak wielka, że wymieniać choćby ciekawsze niepodobna w ciasnych ramach tego artykułu.

Jeszcze słowo jedno o starożytności rodu ludzkiego. Kwestya to niezmiernie ważna, ale na nieszczęście nauka nam dotąd nic stanowczego nie może powiedzieć w tym względzie, pomimo usilnych prac wielu uczonych. Znakomity geolog sir Ch. Lyell opierając się na poważnych badaniach, utrzymuje że rzeka Missisipi płynie w teraźniejszem swem korycie od tysiąca wieków, a Dowler studyujący groby i zabytki indyjskie w Ameryce, dowodzi że delta tejże rzeki przynajmniej od pięćdziesięciu tysięcy lat przez ludzi jest zamieszkałą. Ale te przypuszczenia nie mają za sobą dostatecznych dowodów, podobnie jak i rachunki pp. Morlot i Trocyon nad starożytnością osad jeziornych Szwajcaryi. Nie kusząc się obliczać na lata, a nawet na wieki, wielka starożytność rodu ludzkiego najlepiej się okazuje w torfowiskach Danji, o których prosimy ażeby czytelnicy nasi przypomnić sobie raczyli. Wiadomem jest iż za czasów rzymskich, Danija całkiem była ogromnemi lasami w których przemagały buki. I za dni naszych lasy są też same, co okazuje, że dziewiętnaście wieków na roślinność tego kraju widocznej nie uczyniła zmiany. Przed epoką bronzu nie było wcale buków w tych miejscowościach, ówczas dębami okrytych; gdy w epoce kamiennej nareszcie, sosna szkocka ponure swe cienie po nad tą ziemią roztaczała, i lasy te dawne przez ludzi były zamieszkane. Wszystkie te fakta jawnie się okazują z badania owych torfowisk. Gdyby niedokładne tylko przypuszczenia czynić można co do liczby generacyi każdego drzew gatunku, które kolejno grunt Danji okrywały, zawsze doszlibyśmy do bardzo znacznego minimum. Jeżeli dziewiętnaście wieków tak mało zmieniło te lasy, jakiegoż potrzeba było ciągu wieków ażeby sosny całkowicie przez dęby zostały zamienione, a z kolei wyginęły dęby miejsca ustępując bukom?

Badania nad rozwojem umysłu ludzkiego, czyż także nie uczą nas, że cywilizacya tym szybszym postępuje krokiem im wyższego dosięga poziomu; czyż nie wskazują nam naprzykład, ogromu czasu jaki upłynąć musiał między dniem w którym rozproszeni, samotni prawie ludzie, nie znali sposobu zamiany swych myśli, a owym w którym zrodził się alfabet? Odkrycie najprostsze jest najczęściej tem właśnie, które najwięcej czasu i wytrwałych prac wymagało i zaprawdę, cywilizacya starożytnego Egiptu nie w jednym dniu rozwinąć się mogła. Cezar ukazuje nam w Galji cały lud biegłych rolników i pola bogatemi plonami okryte. Rolnictwo zaś przede wszystkiem jest nauką długoletnich doświadczeń, i lud ten potrzebował zapewne wielu wieków doświadczenia i pracy aby stać się biegłym w uprawie roli.

Wszystko jednem słowem przemawia wyraźnie za starożytnością naszego rodu, i jeżeli nauka nie może nam podać cyfr dokładnych, przynajmniej składa nam wyraźne dowody iż ludzkość od bardzo dawna gości na tej ziemi.

O rasach ludzkich przedhistorycznych mówić tu nie widzimy potrzeby, albowiem przypuszczenia uczonych w tym względzie, nie są jeszcze dostatecznie dowiedzione, a podobieństwo czaszek z owych epok do czaszek niektórych teraźniejszych plemion dzikich, wprowadziłoby nas w szczegóły anatomiczne nie dla wszystkich dostępne lub przyjemne, zresztą w naszem założeniu ta kwestya mniejszego jest znaczenia.

Takie to są, przedstawione w streszczeniu rezultaty teraźniejszej nauki; geologowie i archeologowie całego świata poruszając pyły wieków, zdołali odbudować przeszłość zamierzchłą, odgrzebać ślady wskazujące nam człowieka przedhistorycznego. Cały świat zaginiony od nieobliczonej liczby wieków zmartwychpowstaje na głos geologji, całe szeregi pokoleń ludzkich jawią się oczom naszym, tysiące niekształtnych i podruzgotanych szczątków powstaje z popiołów i dziwną mową opowiada nam czem był człowiek w pierwszych wiekach swego istnienia.

KOLENDA

Ciemno, a ciemno w doczesnym świecie!
Zgasł prześwit rajskich dni...
Grzech niby kamień pierś ludzką gniecie,
A duch tęskniący śni
O szczęściu przeczystem,
Nadziemskiej jasności,
O życiu dwoistem:
Czynu — i świętości.

Nie daremne, nie daremne
Łzy i ciężkie westchnienia!
Czas wróżby i sny tajemne
W rzeczywistość zamienia.
Niebo ziści co przyrzeka,
Co przez proroki głosi:
Bóg się zniża do człowieka,
Człek się w bóstwie podnosi.

Pomroki nocne
Światło rozwiało,
Słowo wszechmocne
Ciałem się stało!

Pękły niebiosa, ziemia zadrżała!
Runął w otchłanie duch potępienia,
Święta Dziecina nam zawitała,
Anieli nucą radosne pienia:

„Pokój ludowi cichemu,
Ludowi wierzącemu!
Cześć małemu Jezusowi
O cześć Bożemu Synowi!
Chwała Panu naszemu!“

W żłobie leży,
Któż pobieży
W kraj ów szczęsny, daleki,
Gdzie zesłany
Ten co rany
Ma zagoić na wieki?
Już rosnąca zorza świta,
W blasku szopa słomą kryta;
Pod nią Boga lud wita.

Spieszcie, spieszcie pastuszkowie!
On was szczerze miłuje;
Wam to pierwszym w grzmiącej mowie
Anioł Zbawcę zwiastuje.
Wy go wiarą okryjecie,
Wy go sercem ogrzejecie,
Słowo czynem zgadniecie.

Spieszcie mędrcy! jasna droga
Zarannej gwiazdy śladem...
Zdrój wszechwiedzy płynie z Boga,
Jezus mędrców przykładem.
On wskazuje tor ludzkości
Co na szczyt wiedzie najprościej:
Kres najwyższej miłości!

Spieszcie, spieszcie, o wy mili,
Przez cierń, noc i łez tonie!
Rychło słońce zmrok przesili,
Błyskiem ducha rozpłonie.
Czy widzicie? czy słyszycie?
Płacze, kwili Boskie dziecię:
Woła, wzywa, choć skrycie.

Zbudź się ludu! pierzchły cienie!
Oto przyszła godzina
Iść w nieścigłe dusz przestrzenie
Gdzie łun wiecznych kraina.
Pokój, pokój ze wszystkiemi
Za Chrystusem dążącemi...
Pokój ludziom na ziemi!.

Mart. .

ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Restauracya pana Teodora Rzepczaka znajdowała się przy jednej z uliczek przecinających Nowy Świat, a była bardzo skromną. Na lewo znajdował się szynczek, dziś odseparowany, z którego wyrosła w prawo para pokoików. dla dostojniejszych gości, którzy zdrowym, gospodarskim stołem tanim zadowolnić się mogli. Szkodziło to po trosze reputacyi jadalni, że naprzeciw znajdował się ten szynk często wrzawliwy, ale Rzepczak nie miał odwagi pozbyć się go zupełnie, choć córka o to prosiła, bo sprzedaż wódki, piwa i *trónków* różnych więcej często przynosiła, niżeli stołownicy, z którémi więcej daleko było zachodu i kłopotu.

Rzepczak był zresztą prostym bardzo, czynnym, gadatliwym, krzykliwym człekiem, którego niemal jedyną cnotą było, że serce miał dobre i dziecko swe kochał. Od młodu w pracy, nawykły do niej, w szynku i restauracyi, gdzie mu się gęba przez cały dzień nie zamykała, od świtu do nocy się kręcił, śmiał — na prędce to przekąsając, to popijając, to licząc, to stękając. Przebył on czasy różne, biedy, długi, komorników, wyrzucanie na bruk... zawsze wstając na nogi, nie tracąc odwagi nigdy... Mały, krępy, z włosem trochę pokręconym na głowie i znacznie przerzedzonym, poczciwy Rzepczak sumiennym był, litościwym, ale rozumu miał tyle tylko, ile na powszednią potrzebę nieuchronnem było. Wyrozumiały nader na słabości ludzkie, sam im ulegał, bo i napić się lubił i, owdowiawszy, nie zawsze pokusom płci pięknej opierać się umiał, i karty go niekiedy pociągały. W gruncie jednak czuł gdy zgrzeszył i szedł potem bić się w piersi u Ś. Krzyża a na klęczkach Boga prosić o przebaczenie. I ot tak ciągnęło się życie.

Ani powierzchowność restauracyi pana Teodora ani wytworna kuchnia jej nie zalecały, ale gospodarz był uprzejmy, ceny nizkie i potrawy zdrowe a czyste. Z tego powodu kilku uboższych urzędników, biuralistów, trochę młodzieży uczącej się i artystów chodziło się tu w kątku przekarmiać. Ceremonji nie było żadnej. Dwoje dosyć zabrukanych dziewcząt hałaśliwie posługiwało, poufale z gośćmi rozmawiając, sam Rzepczak miał nadzór zwierzchni.

Ponieważ bielizna bardzo prędko plamami się pstrzyła, stoliki przyjęto za zasadę okrywać ceratą. Serwetki goście mieli znaczone kółkami, fajans był niekoniecznie dobrany, szkło nie jednakie... a w pokoikach nie wytwornie wyglądało. Goście częstokroć nadużywali białych firanek, z czasem więc zawieszono czerwone, które to nadużycia cierpliwiej, nie dając znać po sobie — znosiły.

W ogóle, ściśle potrzebnych sprzętów nie brakło, zbytku żadnego nie było — goście znali się wszyscy, każdy miał swoje miejsce, swój kołek do powieszenia rzeczy, a nadzwyczaj rzadko trafiał się ktoś nieznajomy. Jeżeli gościa chciał uczcić Rzepczak, przychodził doń na rozmowę i zagadywał się chętnie. Humor miał wesoły. Do przymiotów jego należało i to że — kredytował chętnie i długo. Tracił na tem czasami, ale miał za zasadę ufać ludziom, dobierał tylko twarze które mu się podobały, do tych się zbliżał, a inne omijał milczący, i tym, choć nie mówił, dawał do zrozumienia żeby byli regularnemi. Codziennie tu w jednych godzinach zgromadzający się między sobą się też znali i składali rodzaj bractwa, które poufale u pana Rzepczaka gospodarzyło.

Czasem ktoś odezwał się z żądaniem jakiejś potrawy, a rzadko gospodarz jej odmówił, jeżeli mu była przystępną. Szczególniej sławne tu były barszczyki zabielane, kapuśniaczki, bigosy, sztuka mięsa z kwiatkiem i baranina z nieuchronnym czosnkiem

Wyziewy tych potraw, mogły głodnemu czasem sprawić przyjemność, ale w poobiednich godzinach złączone z dymem złych cygar i wonią naprzeciw będącego szynczku, składały atmosferę nie zbyt przyjemną.

Za restauracyą miał izdebkę swą gospodarz, która służyła mu za sypialnię, biuro, skład i po części śpiżarnię kosztowniejszych zapasów. Za tą znajdowała się jeszcze mniejsza Marysi, w której ledwie obrócić się było można, ale też ona, oprócz wieczora, mało w niej siedziała.

Jednego dnia wcześniej jakoś przyszedłszy z pensyi, zdawała się na coś czatować, kilka razy przeze drzwi wyglądając. Ojciec zląkłszy się czy się jej co nie stało, poszedł niespokojny zapytać.

— A co tobie Maryś, że dziś o tej porze przychodzisz? Czy co, chowaj Boże, na pensyi?

— Nie ma nic, ojczuniu — nie ma nic... Zapomniałam seksterna .. lekcyi nie ma, tom przybiegła, a zaraz powracam.

— A możebyś coś przetrąciła? spytał ojciec.

— Jeść mi się nie chce.

— E! Nie wierz gębie -- Połóż na zębie, rzekł śmiejąc się ojciec — to stare poczciwe przysłowie.

— Doprawdy mi się nic a nic jeść nie chce—później, ojczuniu.

Rzepczak stał we drzwiach, zdało mu się że córka była czegoś zafrasowaną. Przewracała papiery niespokojnie.

— A, nie kłamiesz ty — jakaś — rzekł nieodchodząc -- bo, jakby co było z temi Filipowiczami, to lepiej mów od razu. Opijają mnie... odzierają, a jakby jeszcze ci źle było, niech ich krocset...

— Daję ci ojcze słowo — nie ma nic.

Przybiegła to mówiąc, poklepała go po ramieniu i pocałowała. Rzepczakowi się twarz rozjaśniła. Tymczasem goście się na obiad zbierali i wesołe ich głosy słychać było z restauracyi. Drzwi się otwierały, dziewczęta śmiały się, talerze pobrzękiwały. Marysia nastawiała ucha bacznie. Rzepczak wyszedł przyjmować swoich klijentów.

Było już pięciu, gdy szósty wsunął się pan Emil Drażak i powitawszy się z poprzednikami, zajął miejsce swoje w kątku. Obok, przy tym samym stole siedział malutki, prawie karlego wzrostu, siwy staruszek, urzędnik także, który już się emerytury dobijał. Ciekawa to była postać... wyschła, wymę-

czona, z pargaminową twarzą, a mimo kilkudziesięcioletniej niewoli u biura, pełna życia, werwy, wesołości i dowcipu. Stary kawaler, Piotr August dwóch imion Hustakiewicz, miły był tu wszystkim, nawet dziewczętom, z któremi po młodemu żartował, przynosząc z sobą do restauracyi, niczem nigdy nie zamącony humor przedziwny.

Zwano go Radzcą — był nim w istocie, pensyę też pobierał cale niezgorszą, ale zmuszonym był do stołowania się oszczędnego, bo naprzód skąpym był niezmiernie, a — powtóre chorował na kolekcyonowanie autografów. Dwie namiętności do grosza i do papierów walczyły w nim i często go czyniły uboższym niż był w istocie.

— Pana Drażaka — dobrodzieja! odezwał się Hustakiewicz, który już zajadał sztukamięsę — rekomenduję barszczyk, palce oblizywać... sztuka mięsa dosyć krucha. Co u pana słychać?

— U mnie, odparł Drażak, ale u mnie zwykle nie słychać nic? a u pana Radzcy?

— Źle. Wyrwał mi z przed nosa P. W.... autograf Jana Karola Chodkiewicza... rzekł Radzca — wkrótce się niczego dokupić nie będzie można za temi zapaleńcami.

List z obozu w Inflantach... cale ciekawy.

I westchnął.

— A jakże tam dykcyonarz? dodał, bo to także choróbsko jak moja. I mam tego za... co nie ma choroby podobnej, znak to złej głowy.

— Dobrze to nam — odezwał się Drażak, nie mającym żony ani dzieci, ale ci którym Bóg dał rodzinę nie potrzebują tych opiatów?

Roześmiał się staruszek.

— Słowo daję — masz słuszność, to są opjaty... tak! tak! rodzi się z nich namiętność jak u Chińczyków do opium. To prawda.

Drzwi się po cichutku otworzyły, i zdala panna Rzepczakówna rzuciła okiem na Drażaka... ale zaledwie go zobaczywszy, wnet je zamknęła za sobą. Pan Emil jednak spostrzegł ją, ruszył się czegoś niespokojny, i jakby zmiarkowawszy usiadł, oka nie spuszczając z tych drzwi, w których mu się ukazała.

W tej chwili przyniesiono ów barszczyk i służąca zaleciła, aby jadł póki gorący.

Od drugiego stołu zalatywały nowiny, o pogrzebie generała R. który się właśnie odbył dnia tego, o wspaniałym karawanie, muzyce i liczbie osób, które mu towarzyszyły.

— Widzieliśmy te wspaniałości przez okno, odezwał się Radzca. Gdyby generał co był człowiekiem gospodarnym i oszczędnym, wstał a zobaczył co mu to za pogrzeb sprawiono — umarłby *iterum iterumque* z rozpaczy. Do czego się to zdało?

— Świadczy o poszanowaniu dla zmarłego — przerwał profesor Dygalski od drugiego stołu z powagą.

Radzca szydersko nań spojrzał.

Pan Emil ciągle oczy miał ku owem drzwiom skierowane, a jadł — nadzwyczaj powoli, mimo zalecenia sługi, a barszczyk mu zastygał. Można go było nawet posądzić o to, iż zwlekał umyślnie by się dać innym wyprzedzić. Sługa przyniosłszy mu przedwcześnie sztukamięsę, przez życzliwość dla młodzieńca, nakryła mu ją talerzem.

— Gdyby tak mnie, panno Basiu — odezwał się Radzca, ręczę że nie miała byś tej konsyderacyi, aby mi ciepło zachować stawinogę — a dla młodego...

— A cóż?? śmiejąc się odparła otyła Basia — a pewno? Pan Radzca sobie radzi i je prędko, a młody ma o czem myśleć, to mu stygnie — toć litość trzeba nad nim mieć!

Przyklaśnięto Basi, która starego zwyciężyła.

— Młodość ma swe prawa — odparł Hustakiewicz — i przywileje — *immunitates*. tak... tak...

Emil jadł powoli zamyślony. Profesor Dygalski już wstał po pieczystem, zęby wykałał i ozwał się do gospodarza, który w tej chwili wszedł.

— Szanowny panie Teodorze — pieczystę było dyable, dyable twarde!!

— Ooo!! rzekł Rzepczak — twarde! a piekło się długo... Proszę!

— Musiał kogut być stary kawaler jak ja... odezwał się Radzca, myśmy wszyscy twardzi do zgryzienia.

— Nie — panie to była stara kwoczka — odezwał się Rzepczak.

— Jeszcze gorzej! przerwał Hustakiewicz, stary kogut może być do skruchy powołanym, ale stara kwoka...

Spojrzał na Emila.

— Waćpan panie Regestratorze, jako młodzieniec faworyzowany przez niewiasty, winien byś stanąć w ich obronie? rzekł pochylając się do niego... hę?

— Same się one obronią — odezwał się Emil.. a ze mnie zły adwokat...

Profesor Dygalski zapalił cygaro, wziął kapelusz, skłonił się towarzystwu i majestatycznie wyciągnął z restauracyi. Radzca, który się spieszył zawsze, wkrótce też obiadu dokończył.. dwóch panów milczących walczyło z twardym owym kogutem, Emil dopiero powoli odkrywał sztukamięsę. Służąca co mu chciała usłużyć dobrze... już była przyniosła trzecie danie.

— Czy panu się dziś jeść nie chce? spytała.

Emil nie wiedząc zapewne czem się tłomaczyć, mruknął że go zęby bolą. Wnet, jak za Stańczykowskich czasów posypały się rady.

Basia radziła gorczycę na twarz, Rzepczak pijawki, jeden z gości laudanum, inny jakiś specyfik apteczny, który tylko u jednego na Pradze farmaceuty znaleść było można... Emil myślał już pewnie o czem innem. Drzwi w głębi otworzyły się po raz drugi i zamknęły.

Radzca wyszedł. W pół godziny potem gość jeden zniknął, Emil udawał że je pieczyste. U drugiego stołu drzemał z cygarem w ustach nieznośny Malusiński, podstarzały emeryt, który nie wiedząc co robić ze zbywającym czasem, za długo zwykle przesiadywał w restauracyi, mało co mówił i ziewał Emil na niego spoglądał, jakby go nagląc do wyjścia, ale to nic nie pomagało. Spazmatycznem swem ziewaniem nabawiał wszystkich rozdrażnienia — i nieustępował.

Emil wreszcie porzucił pieczyste, poprosił o kawę, która u Rzepczaka wcale była nieosobliwą — zapalił cygaro, dobył książkę i z ukosa patrząc na drzwi czytał.

Malusiński usnął; lecz sen ten właśnie poobiedni, którego doktór mu się obawiać kazał jako bardzo niezdrowego, spędził go wreszcie i zmusił wyjść z restauracyi.

— A pan nie idzie? spytał w progu Emila.

— Nie — ja — kawę piję — odparł Drażak i począł się przechadzać po obu pokojach pustych. Drzwi uchyliły się znowu, wyjrzano.

Nie było nikogo.

Marysia wyśliznęła się z pokoju szybko, obejrzała trwożliwie, papier jakiś podała panu Emilowi, dała mu znak tajemniczy — i znikła właśnie w chwili, gdy ojciec wchodził drugiemi drzwiami. Drazak zaledwie miał czas papier włożyć do kieszeni, przybrać najniewinniejszą w świecie postawę.

Stary pan Teodor wszakże, bywały człek, z okiem bardzo wprawnem, już był coś najrzał i przewąchał, domyślał się znać czegoś, ale nie dając po sobie poznać, poszedł co rychlej porządkując coś w szafie. Spojrzał tylko na Emila i pomyślał.

— E! tędy to ichmość chodzicie! Wiem już dla czego Maryś z pensyi się wyrwała. Nie głupim.

Jeszcze się ten monolog nie skończył, gdy Emil, który dotąd bardzo się zwolna obracał, jakby go co ukłuło, wyniósł się niezmiernie pospiesznym krokiem. Stary Rzepczak natychmiast wpadł do pokoju córki.

— Słuchaj ty, Maryś — odezwał się — czy to tobie się widzi że ty ojca starego okpisz? hę?

— Albo co? odparła spokojnie córka.

— A toć ja oczy mam! W jakichś jejmościanka konszachtach z panem Emilem, hę? Ja się w to nie mieszam... to twoja sprawa, a no przestrzegam, on się nie ożeni, a romanse się płaczem kończą... Czy ty tego nie wiesz?...

— Wiem, odezwała się Marysia — ale romansu nie ma — niech ojczunio będzie spokojny. Mnie to nie w głowie.

— Po cóż kłamiesz? krzyknął Rzepczak zakładając ręce na piersiach — już ci słowa nie rzekę. To twoja rzecz, dzieckiem nie jesteś... po co...

Marysia z pół wesołą, pół smutną twarzą przyszła do ojca.

— Ojczuniu, rzekła—co prawda to prawda, przyniosłam mu i oddałam liścik... ale nie ode mnie.

— A! do kroćset, to jeszcze gorzej! zawołał Rzepczak — żebyś już choć szczęśliwą była — ale za cudzy miód pokutować... co tobie takiego?

Marysia śmiejąc się ściskała go.

— Już ty mi się nie łaś — rzekł — to licha warta sprawa.

— Oni się pożenią — szepnęła dziewczyna wzdychając — nie ma w tem nic złego. Gdybym nie była o tem przekonaną, nie podałabym im ręki.

Ojciec, nawykły córce ulegać, popatrzał i zamilkł.

— Mnie to tam nic do tego — odezwał się — ty wiesz, ja tobie ufam, bo rozum masz — a jak się zaplączesz i z pensyi cię wygnają...

Zadumała się Marysia, łzy jej w oczach stanęły, nie odpowiedziała nic, chwyciła książki, raz jeszcze pocałowała ojca i wybiegła.

Dnia tego na pensyi była narada walna. Baronowa z Maksem przyszła nalegać o jaką determinacyę i znalazła w pani z Villamarinich nie dawną swą przyjaciołkę od serca, ale — dyplomatę. Filipowicz stał przy żonie, jako korpus rezerwowy.

— Ale ostatecznie — mówiła siedząca na kanapie Baronowa — proszę cię, najlepsza przyjaciołko moja—wyróbcie decyzyę jakąś. Co mówi Mecenas?

Nie dając odpowiedzi, okiem zmierzyła wystrojonego młodzieńca naczelniczka pensyi, skinęła na przyjaciołkę i zabrała ją z sobą do gabinetu.

O ile salon odznaczał się pewną elegancyą — gabinet był z nim w rażącej sprzeczności. Stosy książek powiązanych sznurkami, cukier w głowach, butelki na ziemi, na kanapie dwie sztuki jakiejś materyi, w drugim kącie miednica nie wylana... pantofle tylko co zrzucone, suknia czarna z białą podszewką na kołku — wszystko to chaotyczny obraz przedstawiało.

— Przepraszam baronowę — a, co to tu za nieporządek! ale tyle, tyle rzeczy na głowie... Człowiek waryuje... Chciałam pomówić na osobności...

Zbliżyła się do ucha.

— Tu wszystko, jak się zdaje, zależy od Teklusi, a ta...

Zrobiła ruch wyrazisty...

— Nie może być ażeby się jej Maks nie podobał? proszę cię? Maks? spytała Baronowa.

— Ja się też wydziwić temu nie mogę — to rzecz niepojęta. Charakter tej dziewczyny taki, zimna,

nadzwyczaj zimna. Ja nie wiem! My z naszej strony, baronowo dobrodziejko, nawet z narażeniem się osobistem, staraliśmy się — przyznasz to — czyniliśmy co mogli.

— Ale czyż podobna, ażeby Maks na niej nie uczynił żadnego wrażenia! z urazą powtarzała Baronowa...

Pani z Villamarinich milczała — potem jakby z innej beczki poczęła żywo.

— O ile się dało nagliliśmy na Mecenasa, aż do natrętctwa... i — prawdę rzekłszy, przeciw własne mu interesowi, co on nam dał uczuć — bo nam za pannę Teklę bardzo dobrze płacą.

— Ale toby się dało wynagrodzić, moja droga — odezwała się szybko Baronowa — my byliśmy do tego zawsze przygotowani.

Pani z Villamarinich cofnęła się nieco urażona.

— Kochana Baronowo — nie mówmy o tem.

— Przepraszam cię — ja chcę zaręczyć cię...

— Owszem, pomóżcie nam tylko... my... my...

Tu zaczęło się ściskanie i długie szepty i narady.

Gdy w gabinecie tak się umawiano czy roztrząsano, panna Eufrozyna z polecenia wyższej zwierzchności wprowadziła pannę Teklę do salonu, w którym Maks znajdował się z Filipowiczem.

Profesor zaledwie ujrzał ją we drzwiach, porwał się jakby go co kolnęło i zawołał do panny Eufrozyny.

— Pani raczy ze mną wyjść na chwileczkę.

Dali sobie znak jakiś oczyma i wyszli, Maks został na sam z panną Teklą, która bynajmniej nie zdawała się tem zmieszaną.

Daleko większy niepokój okazywał elegant, który zbliżał się do niej, starając się ukazać w jak najkorzystniejszem świetle.

Był też tego dnia ubrany smakownie jak nigdy. Czarny tużurek leżał na nim jak ulany, kamizelka wykrojona odsłaniała śnieżnej białości szmizetkę, haftowaną nadzwyczaj misternie, krawat był ponsowy, rękawiczki bismarkowskiej barwy, a buciki lakierowane szyte białym jedwabiem, mogły iść choćby na wystawę. Woń, która tego dnia atmosferą nadzwyczaj silną otaczała pana Rabsztyńskiego, była mieszaniną ambry i patchuli.

Panna Tekla popatrzała na niego obojętnie i — usiadła.

— Tak dawno nie miałem szczęścia widzieć pani?

— Dawno? spytała panna z niedowierzaniem.

— Przynajmniej, mnie się ten czas wydał — wielkim.

— Pan się nudzi w Warszawie!

— A! nie pani, ale gdy jej nie widzę...

Panna Tekla popatrzała i rozśmiała się — ruszyła zlekka ramionami. Maks — pozbawiony odpowiedzi, zakłopotał się o ciąg dalszy rozmowy. Czas był krótki, lada chwila mógł wrócić Filipowicz, albo z gabinetu Ciocia Baronowa z panią z Villamarinich, a dzień ten był przeznaczonym na „wynurzenie uczuć.“

Musiał więc, choćby nie bardzo zręcznie — wynurzać.

— Oddawna — odezwał się, spuszczając oczy skromnie — od dawna mogła pani uważać z jaką czcią dla niej i uwielbieniem jestem. To się wyrazić nie daje... Nie mogę dłużej się powstrzymać — pani pozwoli... abym dziś — niech pani wierzy...

Tu się splątał trochę. Panna słuchała z uwagą, ale Maks dostrzegł że nawet się nie zarumieniła, co w takich wypadkach jest prawie nieuniknionem.

— Mojem nieodmiennem postanowieniem, dodał— jest — jest — jeżeli pani dozwoli — starać się o jej rękę...

Chwilę panna Tekla namyślała się milcząca.

— Jestem panu bardzo wdzięczną — rzekła — ale pan wiesz że rodziców moich nie znam, o pochodzeniu mem, nie mam wiadomości. Byłoby ze strony pana zbyt wielką ofiarą...

— Pani, przerwał Maks — żadna ofiara dla niej, nie wyda mi się zbyt wielką.

— Jeszcze raz mu dziękuję — odezwała się Tekla. Ja nie chcę iść za mąż.

— Więc pani mnie... odrzuca! zapytał Maks zarumieniony.

— Będę szczerą i otwartą — chłodno odezwała się sierota. Ja jestem stworzoną i do innego świata i do życia innego niż te do którego pan przywykłeś.

— Ja się zastosuję.

To mówiąc kapelusz podniósł Rabsztyński, oczy do góry zwrócił.

— Pani — zawołał — nic nie żądam tylko słowa jej, czy miałem szczęście w jej oczach... reszta... niech pani wierzy. Jeżeli jej serce pozyskać potrafię.

— Nie — panie — stanowczo i prędko — wstając odezwała się Tekla — nie, panie — zwodzić pana nie chcę, ani mu czynić nadziei. Świetniejszy los pana czeka... tego mu życzę.

Żywo zakręciła się i wybiegła! Maksowi w gardle zaschło—stał sam jeden porzucony w salonie z rozpaczą w duszy i gniewem...

W tem wszedł—Filipowicz i zbliżył się do niego na palcach...

— A cóż, oświadczyłeś się?

Rabsztyński milczał.

— Jakże?

Z miny już mógł odgadnąć że źle poszło.

— Czy może być? co? jak się zowie—od kosza dała.

— A tak!! zawołał wybuchając Maks i gwałtownie prostując się począł chodzić po salonie—a tak!

Ruch ten i głos Filipowicza (wszystko było ukartowane) wywołał dwie panie z gabinetu. Zobaczywszy Ciotkę, Maks się zbliżył do niej.

— My tu już nie mamy co robić—dostałem odprawę zawołał.

Osłupieli wszyscy. Pani z Villamarinich ręce załamała.

— Czyż może być??

— Tak jest, z bólem i ironiją rzekł piękny Rabsztyński—no—tak—nie wiem przyczyny—nie rozumiem, ale odprawę mi dano.

Wśród milczenia powszechnego, Filipowicz przybrał heroiczną postawę, wystąpił na środek salonu, i rzekł z powagą, palcem na pierś własną wskazując:

— Kiedy tak—nie mam już co taić i nie mam co! jak się zowie! Winowajcą jestem—ja!

Zdumienie powszechne.

— Nikt inny—ja—ciągnął Filipowicz dalej. Tak! Jasnem mi jest teraz wszystko. Panna Tekla kocha się, a ja sam, oślepiony, zbyt ufny, prostoduszny, wprowadziłem do domu tego człowieka... który, odgrzany na mem łonie, dziś ciosem je takiem rani!!

Nie wierzyłem oczom, acz je mam bystre... nie przypuszczałem tak czarnej niewdzięczności.

— Ale któż? co? jak? zawołała sama pani. Pleciesz...

— Nie plotę... nie! jam winien... widziałem wejrzenia—spotykania, konszachty, posądzałem tę pomywaczkę, którąśmy z miłosierdzia przyjęli o pośrednictwo. Bystre miałem oko. Tak jest. Romans formalny egzystuje między panną Teklą, a Emilem Drażakiem.

(*d. c. n.*)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
po Szwecyi i Norwegji.

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

(Ciąg dalszy).

Nie rozumiejąc rozpraw i sporów prowadzonych po szwedzku o tekscie łacińskim, opuściliśmy turniej akademicki aby zwiedzić pomniki miasta. Przyznać trzeba że nie odpowiadają one starożytnej sławie Upsalu. Ulice są wązkie ale proste i dobrze utrzymane, domy odznaczają się czystością. Nie ma tu innych pomników nad kościoły, kollegija i biblijoteki, przemysł ogranicza się do księgarni. Miasta szwedzkie nie mają czasu się postarzeć, jak stawiane z drzewa, przynajmniej dwa razy w ciągu każdego wieku stają się pastwą płomieni. Miłujący starożytne pomniki swe Upsal, odbudował sławną swoją starożytną biblijotekę *Karolinę*, która także zgorzała, i pozostawił dawną nazwę dodając tylko przydomek *rediviva* i nazywają ją obecnie „*Biblijoteką wskrzeszoną*“. W tym przybytku nauki znajduje się 200,000 tomów. Widzimy tu książki najrozmaitszych formatów, jakby materyalne odbicie myśli ludzkich zmieniającej się z biegiem czasu. Najpierw księgi były ciężkie i trwałe jak pomniki, następnie stały się lekkie i nietrwałe jak listek co się unosi, przelatuje i znika. Widzimy papyrusy, tablice dydaktyczne, pargaminy, palimpsesty, rękopisma, mszały, incunable, księgi in-quarto, in-octavo, broszury i dzienniki. Na honorowem miejscu, pod rodzajem baldachimu, leży sławny *Codex argenteus*, to jest pierwszy przekład Ewangelji na język niemiecki. Szwedzi zdobyli go podczas wojny trzydziesto-letniej i przechowują go z dumą; jest to zarazem skarb i trofea!... Pod oknami *Carolina rediviva* roztacza się rozległa szmaragdowa murawa wśród której rosną śliczne kwiaty i gaje, a wspaniałe cieplarnie otwierają swe okna ciepłym promieniom słońca. Wśród roskosznego tego parku, wyłaniają się z cienia drzew wesołe gmachy pomalowane na różowo: to szkoły wyższe i niższe. Jakże różnią się od zwykłych zaniedbanych i posępnych gmachów szkolnych!

Katedra Upsalska jest to największy gmach gotycki w całej Skandynawji. Oprowadzający nas *custode* powiedział z pychą, że pod względem rozległości jest ona 48 z rzędu kościołem chrześcijańskim, liczy bowiem 370 stóp długości, 141 szerokości i 115 wysokości. Jednak odnośnie do imponującej tej rozległości, nie zaleca się pięknością, zewnątrz szpecą ją dwie wieże zbudowane przed wiekiem: ustrojone ozdobami rococo, dziwną tworzą sprzeczność z gotyckim portykiem i nawą. Patrząc na to zdawało nam się że widzimy średniowiecznego rycerza w pełnym stroju, mającego na głowie markizowski kapelusz. Wnętrze przeciwnie zachowało pierwotny styl budowy, ale nie ma tu tej doskonałości szczegółów, tej płodności ornamentacyi roztaczających się w naszych kościołach, budzących zadumę i uwielbienie.

W katedrze Upsalskiej największe budzą zajęcie nagromadzone tu grobowce i pomniki znakomitości narodowych. Wielcy dygnitarze klęcząc na swych grobach błagają wiekuiście miłosierdzia Bożego; rycerze śpią w swych zbroicach z głową wspartą na marmurowej poduszce, z mieczem przy boku, grób rodziny Oenstiern'ów, zdobny w herby i trofea, mieści się tuż obok kaplicy Gustawa Wazy, w której tenże spoczywa obok dwóch swoich małżonek; z drugiej strony leży goły kamień Lineusza, który nie chciał aby jakikolwiek napis wyryto na jego grobie.

Gdyśmy się przyglądali pomnikom grobowym, nagle dał się słyszeć szmer tłumu zwolna napływającego do katedry. Drzwi roztwarły się na rozścież; dzwony wieży odezwały się tryumfalnie; korzystając z obecności tak licznych gości Upsal obchodzi uroczystość o intronizacyi, nowo promowanych doktorów. Ta uroczystość szkolna zastąpiła pod sklepieniami katedry, wspaniały obrządek namaszczania na królów; to jest także rodzaj koronacyi ale innej natury. Cały orszak zebrał się na placu przed kościołem; ciało uniwersyteckie w pełnym komplecie towarzyszy nowym doktorom. Porządek pochodu, miejsce jakie każdy ma zająć, postanowione były jeszcze przed kilku wiekami, i to nie w Upsalu ale w Paryżu. Gdy w r. 1477 Akademija Upsalska (*Academija Upsaliensis*) otrzymała swe przywileje od Stenon'a Sture, przyswoiła sobie organizacyę kwitnącego wówczas uniwersytetu Sorbonny; wzór przestał istnieć, kopija przetrwała!...

Oto rektor posuwa się na czele czterech fakultetów; otaczają go bedele i woźni z maczugami, w ubiorze pół wojskowym, pół religijnym. Mają czarne suknie; plisowane krezy otaczają szyję; na głowach berety nakształt biskupiej mitry; przy boku szpada. Za nimi postępują członkowie konsystorza akademickiego, w wspaniałych togach i chrzestni ojcowie nowych doktorów, a chorążowie niosą herbowne chorągwie poprzedzające korporacye potworzone ze studentów jednej prowincyi, które także przechowały francuzką nazwę „narodów“ tylko zamiast narodów Pikardyi i Normandyi, defilują tu narody Dalekarlji, Gotów i Ostrogów. Nareszcie następują nowi doktorowie, z wieńcami laurowemi, nie na głowie ale w dziurkach od guzików, jedyne ustępstwo dla idei tegoczesnych.

Mimo tych nazw paryzkich, nie ma nic wspólnego między tą spokojną uroczystością, a zgiełkliwemi obchodami jakie miewały kiedyś miejsce w Uniwersytecie Paryzkim, które trwogą przejmowały Paryż. Tu cały orszak postępuje poważnie, nie zakłócając niczyjej spokojności.

Gdy już wszyscy procesyonalnie weszli do katedry, nowi doktorowie otrzymują dyplom i obrączkę, godła dla swej godności, poczem następują uściski wszystkich członków konsystorza. Poważną tę ceremonię przerywają wystrzały z dział; zwiastujące Upsalowi i Szwecyi, że uczone ciało zaciągnęło nowych rekrutów.

Przez długi czas uniwersytet Upsalski miał tak rozległe przywileje i prawa iż stanowił jakby rząd w rządzie, ale nareszcie korona rozciągnęła nad nim prawo nadzoru i juryzdykcyi. Obecnie król mianuje wielkiego kanclerza przewodniczącego nauczaniu publicznemu w Szwecyi; przesadzone przywileje Uniwersytetu bardzo zostały ograniczone. Od roku 1852 studenci podlegają sądom krajowym a nie wyrokom zwierzchności uniwersyteckiej; jednak Akademijom przysługuje dotąd prawie absolutne prawo obierania swych profesorów; król może ich tylko mianować z listy przedstawionej przez Uniwersytet.

Widzieliśmy całe ciało uniwersyteckie w wielkich i paradnych strojach, zajrzyjmy teraz do studentów; nie szukajmy ich jednak w ich skromnych mieszkaniach, ale *w lokalu* ich narodów. Wchodzimy tedy do dużego i pięknego domu, otoczonego ogrodem czyli raczej parkiem; jesteśmy w Skanji. *Lokal* jest własnością wspólną wszystkich mieszkańców jednej prowincyi, trzyma środek między klubem a biblijoteką; są tu gabinety do czytania i salony koncertowe, laboratorya i sale balowe. Wszystko to urządzone z pewnym komfortem ale jakoś surowe i zimne, znać tu odbicie lodowatego tchnienia reformy.

Organizacya Narodów łączy się z istnieniem uniwersytetu Upsalskiego, który bez niej liczyłby daleko mniej studentów. Młodzian przybywający ze Skanji, Jutlandyi lub wybrzeży Torneo, znalazłby się w Upsalu jakby w obcym kraju, wśród zupełnie nieznanych sobie współczuni; otóż w swoim Narodzie czuje się jakby we własnej prowincyi, a współziomkowie przyjmują go z otwartemi rękami, dopomagają radą i zbiorowym swym wpływem, od pierwszej chwili znajduje rodzinę i przyjaciół. Każdy taki Naród jest jakby maleńką rzeczpospolitą rządzącą się zasadami *self-go vernement;* nadaje sobie statuta, odróżniając jednak *wykonawczość* od *prawodawczości.* Ważne postanowienia może wydawać tylko ogólne zgromadzenie wszystkich członków, ale tylko wybieralni kuratorowie mogą je wykonywać i zwoływać zebranie! Obok sali posiedzeń są pokoje w których „ziomkowie“ zbierają się na wspólną naukę i pogadanki; na wyższem piętrze są pokoje dawane darmo na mieszkania ubogim studentom. Profesorowie są honorowymi członkami Narodów; często bywają obecni na uroczystych zebraniach i przyjmują udział w codziennych pogadankach. Tym sposobem wyradza się pełna szacunku zażyłość między profesorami i uczniami.

W zarządzie każdego Narodu ważne zajmuje stanowisko organizator balów i zabaw, zwany *magister bibendi.* Podczas naszego pobytu, studenci prawie nie odosobniali się w swych „lokalach“ ale ciągle wszyscy byli razem dla podejmowania i bawienia swych gości z Norwegji, Danji i Finlandji.

Cudzoziemiec zaproszony na bankiet szwedzki, mniema z początku że znalazł się wśród ludzi tak bez wytchnienia zajętych interesami, iż nie mają chwilki czasu aby usiąść do jedzenia. Współbiesiadnicy cisną się przy bufecie na którym porozstawiane są solone mięsa i ryby, cienko pokrajana szynka, jaja na twardo drobno posiekane, kawior i t. p. przysmaki *pobudzające pragnienie*; to też przy tej kolacyi wychylają bardzo dużo kieliszków wódki i kummelu. Zaproszony cudzoziemiec naśladuje przykład gospodarzy, i gdy już zasycił swój apetyt postrzega z żalem że wstęp wziął za kolacyę, prolog za sztukę. Ta przygrywka gastronomiczna nazywa się *smorgasbrod*, i służy jedynie do zaostrzenia apetytu i widać spełnia swoje zadanie, gdyż po niej zasiadają do stołu, jedząc i pijąc jakby byli na czczo, popijając jałowcówkę i inne wódki oraz dobre wina francuzkie. Według niezbitych obliczeń statystycznych, Szwecya pochłania dziewięć razy więcej napoi alkoholicznych niż połączone królestwa Anglji, Szkocyi i Irlandyi.

Na bankietach Upsalskich gdy już zapał i rozochocenie ostatnich dosięgną granic, gdy niezliczone wiwaty zatrzęsły salą, a śpiewy patryotyczne i pieśni pijackie rozlegają się chórem, studenci rozmaitych uniwersytetów zamieniają czapki: Norwegczyk stroi się w biały birecik Upsalski, Duńczyk przywdziewa kolory Finlandyi. Wtedy radość ogólna nie zna granic, nastało najzupełniejsze zjednoczenie między bratniemi prowincyami, które, niestety! często bywały sobie wrogami.

Wieczorem następuje bal, na którym ranni teologowie zamieniają się w niezmordowanych tancerzy; zwycięzcy i zwyciężeni zgodnie stają naprzeciw siebie; młodsi i starsi studenci, *seniores, recentiores* i *juniores* walcują zawzięcie, szczęśliwi że w godziwej rozrywce znajdują chwilę wytchnienia po pracy. Na takich balach bywa całe ciało uniwersyteckie i wszyscy najpoważniejsi nawet profesorowie, i zdarza się często że powoli, stopniowo powaga ich topnieje, i nieraz przy końcu zabawy, przyjmują udział w tańcu.

Nazajutrz trzeba nam było opuścić Upsal i pożegnać serdecznych naszych gospodarzy; jak mówi poeta perski „czarny kruk rozstania zakrakał nad naszemi głowami“. Gdy oznajmiliśmy że zamierzamy zwiedzić wnętrze Szwecyi i Norwegji, ucieszyli się bardzo że pragniemy poznać tak odległą ich ojczyznę i zalecili abyśmy zboczyli do Delekarlji, aż do kościoła Lecksand, leżącego w środku tej prowincyi, „Ale pamiętajcie panowie, dodali z tajemniczym uśmiechem, abyście w Lecksand zabawili przez niedzielę“.

(*d. c. n.*)

Korespondencya ze Lwowa.

Co kilka lat ponawia się niebezpieczeństwo, że kraj nasz ma stracić jeden uniwersytet, mianowicie lwowski. Już przed kilku laty wypłynął w Wiedniu plan przeniesienia lwowskiego uniwersytetu do innej niemieckiej prowincyi a wtedy spierano się o to, komu Lwów ma zrobić tak cenny dar, Salzburgowi czy Morawji. Jednomyślny protest całego kraju osiągnął wtedy skutek zupełny a nawet rząd widząc, jakie niezadowolenie krok podobny wywołałby w całej ludności, starał się w parlamencie wybić tę myśl z głów niemieckich. Gdy przed dwoma laty postanowiono założyć jeden nowy uniwersytet niemiecki zdawało się, że nie grozi nam już utrata najwyższego zakładu naukowego. Zwłaszcza wybór Czerniowiec na siedzibę nowego uniwersytetu niemieckiego wpłynął na to uspokojenie. Dotąd bowiem myśl przeniesienia lwowskiego uniwersytetu do innej prowincyi opierała się na tem, że jest on dla nas zbyteczny w obecnym ustroju t. j. z polskiemi wykładami. Mówiono zawsze, że polska młodzież wypełni zaledwie sale uniwersytetu Jagielońskiego w Krakowie a do Lwowa garnie się tylko uboga młodzież wschodnio-galicyjska i bukowińska, która łaknie wykładów niemieckich i tylko dla braku środków nie może szukać ich w odległym o sto mil i drogim Wiedniu. W ten sposób tłomaczono liczną frekwencyę lwowskiego uniwersytetu, ażeby przedstawić go w świetle nienawistnem dla Niemców, ażeby uchodził u nich za zakład nietylko tamujący wzrost germanizmu w stronach dlań bardzo przystępnych lecz nadto polonizujący już gotowe żywioły niemieckie. Otóż wszystkiemu miał zaradzić nowy uniwersytet niemiecki w Czerniowcach, małej stolicy malutkiej Bukowiny. Nieznający stosunków a zawistni Galicyi germanizatorowie byli pewni, że nowy uniwersytet osiągnie także i cel uboczny t. j. odbierze lwowskiemu znaczną część słuchaczów i pozwoli potem dowieść światu, że Galicya nie potrzebuje dwóch uniwersytetów, że mianowicie lwowski po zaprowadzeniu wykładów polskich stracił racyę bytu. Ale cała ta rachuba zawiodła. Czerniowiecki uniwersytet mimo wszelkich zachwalań i zachęt ściągnął do siebie bardzo małą liczbę słuchaczów a lwowski wytrzymał konkurencyę świetnie, bo choć

w pierwszym roku opuściło go kilku słuchaczy zaraz przy następnych wpisach ogólna ich liczba nietylko wróciła do dawnej wysokości, lecz nawet wzrosła. Dzisiejsza liczba słuchaczy w uniwersytecie lwowskim jest tak wysoką, że pod tym względem może on iść w zawody z uniwersytetami wszystkich innych prowincyi, oczywiście z wyjątkiem wiedeńskiego, który posiada wydział medyczny wsławiony w całej Europie, nawet na całej kuli ziemskiej kilku profesorami starszego pokolenia. W przekonaniu, że teraz już nic nie grozi lwowskiemu uniwersytetowi, że owszem może on teraz domagać się uzupełnień, których mu dotąd odmawiano ze względu na prowizoryczność egzystencyi, kraj zaczął się znowu upominać o utworzenie lekarskiego wydziału. Potrzebę takiego wydziału popiera wielki brak lekarzy na prowincyi i cyfra śmiertelności, która świadczy najniepochlebniej o sanitarnych stosunkach kraju. Dowody na cyfrach oparte już dawno zostały dostarczone, ale skutki nie osiągnęły.

Gdy w tym roku przywieziono prośbę o założenie wydziału lekarskiego we Lwowie, odpowiedziano na to w Wiedniu wskrzeszeniem myśli zwinięcia uniwersytetu lwowskiego. Myśl tę wskrzesił w parlamencie wiedeńskim jeden z jego najwięcej wpływowych członków a w dodatku profesor, któremu sam zawód kazałby być raczej twórcą nowych zakładów naukowych a nie grabarzem już istniejących i posiadających wszelkie warunki żywotności. Tym razem postanowiono ocukrzyć Galicyi pigułkę i upozorować zniesienie lwowskiego uniwersytetu wszelką dla kraju życzliwością. W tym celu podniesiono niedostatki uniwersytetu Jagielońskiego w Krakowie, który państwo chętnie podniosłoby na stanowisko dawnej świetności, gdyby się tylko znalazły potrzebne do tego fundusze. Wycieńczony skarb państwa wrzekomo nie może się zdobyć na podwyższenie budżetu uniwersyteckiego w Krakowie, więc jedynym środkiem byłoby zniesienie uniwersytetu lwowskiego. Cały ten plan jest widocznie na to obliczony, ażeby pozyskać dlań opinię Krakowa i osłodzić pigułkę reszcie kraju. Jesteśmy bowiem pewni, że nawet po zwinięciu uniwersytetu lwowskiego, Niemcy byliby dla krakowskiego tak skąpi jak dotąd, a fundusze na Lwowie oszczędzone pochłonąłby inny, niemiecki uniwersytet, najprawdopodobniej czerniowiecki, który jest już teraz rozpieszczonem dzieckiem. Ów profesor, dr. Süss który takim tanim kosztem chciałby się przysłużyć uniwersytetowi krakowskiemu, napisał list do byłego rektora uniwersytetu lwowskiego dr. Antoniego Małeckiego z prośbą, o udzielenie mu informacyi o stosunkach i o bezstronne ocenienie podniesionego projektu zwinięcia uniwersytetu lwowskiego. Z tego wynika, że wiedeński roformator naszych uniwersytetów nie miał dobrego wyobrażania o stosunkach wtedy, gdy rzucił w parlamencie swoją myśl i chce je poznać dopiero teraz, gdy myśl rzucona może w krótkim czasie jak złe ziarno przyjąć i rozrość się. Jaką odpowiedź da dr. Małecki na otrzymany list, to można z góry przewidzieć, ale czy odpowiedź ta wywrze skutek pożądany, czy przekona zaciekłego profesora o potrzebie pozostawienia lwowskiego uniwersytetu, to znowu inne pytanie. Doświadczenie nauczyło nas patrzeć z niedowierzaniem na sprawy tego rodzaju. Choć zatem minister oświecenia oświadczył, że poruszonej myśli zniesienia uniwersytetu lwowskiego nie przyjmuje za swoją, mimo to trzeba stać ciągle na straży, bo za rok inny minister gotów wywlec stary wniosek i powołać się na opinię wrzekomo już przez parlament wyrażonej. To też wdzięczność należy się profesorowi historyi na tutejszym uniwersytecie dr. Ksaweremu Liskemu, który już w kilkanaście dni po tym najświeższym zamachu na lwowski uniwersytet, wystąpił w jego obronie i napisał broszurę niemiecką w formie otwartego listu do autora wniosku o zniesienie tego uniwersytetu. Jeżeli niemieccy członkowie parlamentu, którzy już otrzymali tę broszurę, są bezstronni i sprawiedliwi, to muszą po jej przeczytaniu przyznać, że ani naukowe ani finansowe względy nie przemawiają za zniesieniem uniwersytetu we Lwowie. Datami urzędowemi i faktami wykazał dr. Liske że lwowski uniwersytet nie wymagał i nie wymaga ofiar ze skarbu państwa, że liczba słuchaczów ustawicznie w nim wzrasta, że wreszcie młodzi profesorowie jego oddają nauce znaczne usługi, bo nie ma między nimi ani jednego, któryby w ostatnich czasach nie dał się poznać światu naukowemu cenną pracą.

Prowincya zaczyna teraz nierównie więcej czytać, prenumerować i zaglądać do księgarni a tem samem wstępuje na drogę, która pozwoli Galicyi pozbyć się słusznego do pewnego stopnia zarzutu, że czem była Beocya w Grecyi tem jest ona w społeczeństwie polskiem.

Zdanie to powinnoby znaleść poparcie także i w tym fakcie, że z nowym rokiem przybywa naszemu miastu nowa drukarnia, dwunasta czy trzynasta z rzędu. W ostatniem dziewięcioleciu liczba księgarń i drukarń podwoiła się a może nawet wzrosła w trójnasób. Że nowe księgarnie wcale nie walczą z niedoborami, lecz owszem przynoszą przedsiębiorcom wcale piękny zysk od skromnego kapitału zakładowego, to jest faktem, który potwierdzają interesowani. Nie słyszeliśmy także dotąd, ażeby wskutek powstania nowej drukarni, starsze zakłady typograficzne chyliły się ku upadkowi. Być może dopiero teraz zacznie się przesilenie, o czem nawet mówią dość powszechnie. W każdym razie jednak liczba drukarń pozostanie jak na Lwów wcale pokaźną a w porównaniu z dawną liczbą nawet bardzo wysoką.

Za to nie zanosi się na wzrost liczby wydawnictw pojedyńczych, co w obec lat dawniejszych byłoby niezawodnie zjawiskiem wyjątkowem. Dotąd nowy rok przynosił nam kilka nowych pism ale za to starsze wyczerpywały fundusze i nie mogąc się doczekać korzystniejszej zmiany stosunków zaraz po 1 stycznia wchodziły w kompromisy z innemi czyli mówiąc otwarcie upadały nie dopełniwszy zobowiązań zaciągniętych w obec czytelników. Wcale nie martwiłoby to nikogo, gdyby obecnie liczba pism przestała wzrastać a stagnacya wyszła na korzyść istniejących i ochroniła je od upadku. Życzymy tego przedewszystkiem wydawnictwom literackim, bo takie zawikłania zagraniczne jak obecne dotąd zawsze przysparzały pismom politycznym nowych czytelników a równocześnie ujmowały prenumeratorów pismom literackim. Dla osób, które prenumerowanie dwóch zaliczają do zbytku lekkomyślnego, pismo polityczne nieposiadające nawet stałego fejletonu jest niezawodnie w tej chwili ponętniejsze i niezbędniejsze aniżeli pismo literackie.

W teatrze Emigracya chłopska Anczyca zbiera laury zasłużone. W Galicyi trapionej tą plagą nowoczesną, zasilającej Amerykę corocznie mnóstwem malkontentów opuszczających ojcowiznę, sztuka p. Anczyca mogła liczyć na nierównie większe powodzenie aniżeli w Warszawie. Nadto jeszcze wyborna gra kilku artystów tutejszych w roli żydów i parobków podnosi znakomicie wyborną charakterystykę i trafność całego obrazu. Oby tylko emigracya chłopska nadal nie prosperowała tak w kraju jak obecnie na scenie lwowskiej. Zdaje się, że istotnie zapanowała w tej mierze reflekcya u naszego ludu wiejskiego. Składa się na to kilka powodów a głównie ten, że na żywych przykładach mogą włościanie przekonać się o kłamliwości obietnic, jakiemi niesumienni ajenci nakłaniają ich do wyzucia się z ojcowizny i szukania fortuny za morzem. Wałęsa się już po wsiach dużo takich biedaków, którzy doznawszy okropnego rozczarowania wrócili z połowy drogi do kraju dzięki wsparciu władz zagranicznych i konsulów austryjackich a nieraz nawet o żebranym chlebie. Dziś za ciężką karę muszą się wysługiwać tem, gdzie do niedawna byli skromnymi ale samoistnymi gospodarzami. Oprócz takich pouczających przykładów zatamowała nieco emigracyę chłopską czujność i energija władz sądowych w ściganiu lichwiarzy który korzystając z usankcyonowanej prawem do wolności w nakładaniu procentów, dopuszczali się częstych ale zręcznie zamaskowanych oszustw na nieoświeconym ludzie wiejskim. Wywłaszczenie było bezpośredniem następstwem takich sprawek a wywłaszczenie znowu stawało się powodem wychodztwa do Ameryki. W kilku miejscowościach władze sądowe wytropiły i surowo ukarały takich lichwiarzy więc ich towarzysze zadrżeli w całym kraju i choć się nie skruszyli, to przynajmniej dla ostrożności powstrzymują swój zapał do zbrodniczego wyzuwania ludu wiejskiego z ziemi.

B. Ł.

WSPOMNIENIE.

Komuż się nie uśmiecha myśl rodzinnej strzechy,
Komuż serce nie zadrży wspomnieniem młodości,
I któż nie pomni rzewnie dziecięce uciechy,
Kiedy życie się zdało szeregiem radości.

Czemuż tyle uroku widzimy w przeszłości,
W tej lubej czarodziejce nieujętej wiekiem,
Która dawno spoczęła w odmęcie wieczności?
Bośmy na świat patrzeli niewinności okiem.

Wtedy barwa obłoków olśniewała oczy,
Promień słońca po burzy sprawiał szczęścia tyle,
Najpiękniejszą harmonią drżał strumyk przezroczy,
A myśl czysta, swobodna ścigała motyle.

Wsłuchując się z zachwytem w te wiosenne dźwięki,
Gdy na kwiatach brzęczały pszczółki pracowite,
Serce pojąć pragnęło chórów ptasich jęki,
I tajemnice w lilji kielichu ukryte.

Błogo wspomnieć te chwile gdy serce kochało
Wszechświat cały, robaczki, róże i powoje,
Dla ludzi silnie biło do świata się śmiało,
Odczuło bliźnich troski jako własne swoje.

Później te różne szczęścia co w życiu zaświecą
Wszystkie ziemskie rozkosze sława i dostatki,
Olśnią na chwilę oczy i dumę podniecą
Lecz sercu nie zastąpią uściśnienia matki.

Bo los swoje ofiary krętą wiedzie drogą,
Życie w zwrotnych kolejach często smutek daje,
Nadzieje nas zawodzą, ludzie zdradzić mogą,
Jedno wspomnienie tylko, nietknięte zostaje.

Eliza R.

Przegląd literacki.

Źródła Dziejowe Tom I. Krzysztofa Grzymułtowskiego Listy i Mowy. Wydał A. Jabłonowski. Warszawa 1876. (Dokończenie).

Rząd Rzeczypospolitej nie miał nawet pieniędzy na koszta poselstwa: król musiał łożyć z własnej

swojej szkatuły. Posłowie stanęli w Moskwie 19 lutego 1686 r., i już we dwa dni stanęli przed obliczem carów „dość z ozdobną magnificencyą na srebrnym tronie siedzących“. Grzymułtowski powitał młodych monarchów mową polską, której z ukrycia słuchała także i carówna Zofija. W owych czasach język polski był dość znanym w Moskwie i zrozumiałym już to wskutek częstych stosunków politycznych z Litwą, już to wskutek wpływów akademji Kijowskiej na świecką i duchowną literaturę rosyjską, już to wreszcie jako pozostałość z epoki Dymitrów. Carowie i bojarowie rozumieli po polsku; carówna Zofija czytywała książki polskie treści duchownej, zwłaszcza dzieła słynnego Łazarza Baranowicza, wychowańca akad. Kijows., który dobrze władał językiem polskim. Zresztą Grzymułtowski w tej mowie dobierał umiejętnie wyrazów ogólnie słowiańskich, używał nawet tu i owdzie wyrażeń i zwrotów ruskich i cerkiewnych. Wystrzegał się za to łaciny jako mniej w Moskwie znanej i pod tym względem ta mowa, dziwnie czysta, jaskrawo odbija od wszystkich innych zawartych w książce dokumentów, w których Grzymułtowski, podług ówczesnego zwyczaju literackiego, posługiwał się mieszanym czyli makaronicznym językiem polsko-łacińskim, naprzemian niemal kładąc po polskich wyrazy łacińskie w każdem zdaniu. W mowie do carów, po zwykłych tytułach, Grzymułtowski wspomina o Włodzimierzu Wielkim „jako ten chrztem, wraz na się, i na całą Ruś przyjętym, stał się być wykorzenicielem owych pogan walecznych, dawnych Waragów (sic), Kazarów, Drewlanów, Pieczenigów, z podbitych których narodów szeroko rozszerzył aż do Dunaju jedyną władztwa swego granice, tak to podał następcom swoim, aby rozkrzewienia chwały Bożej, pomnożenia imienia chrześcian, obrony krzyża św. takowemiż zostawali następcami i naśladowcami.“ Używając potem górnolotnej retoryki powiada: „nie co innego wam wielkim hospodarom same przeznaczają nieba, pod ten czas rzadkim przykładem dwóch braci rodzonych na jednym osadzonych tronie; jeno jako lotny orzeł korony polskiej i czuły zbrojny rycerz W. X. Litewskiego złączony z orłem o dwu głowach wielkich, a sławą skrzydeł państwa rzymskiego, sprawiedliwego Jowisza (?) niosą na pogany zemstę i pioruny, tak też orzeł narodu rossyjskiego do tejże świętej przystąpiwszy ligi, o dwóch też głowach na herbie i na tronie zasiadłszy, zdobiąc swe piersi mężną obroną, patronem Rosyi Jerzym świętym, okrutnego smoka zwyciężającym, aby pogrążywszy (sic) i tę hydrę, pożerającą całe chrześcijaństwo, z przymnożonych nowych tryumfów i z podbitych bisurmańskich narodów, nowe na głowy wasze, których jeden tron ogarnąć nie może (?) przysposobił i dzielił korony“. Wspólnych przodków Rosyan i Polaków mówca nazywa „dawnymi Sławakami“. Podane w książce (str. CIV) piękne zakończenie mowy nie znajduje się w samej mowie, przytoczonej na str. 146; chyba więc stanowiło zakończenie drugiej mowy, której tu nie znajdujemy. Niech że tedy — powiada mówca, te przesławne sławiańskie narody, tej tak sposobnej, którą Bóg podaje, zażyją pogody; niech za powodem wielkich swoich monarchów, przy odwadze i dzielności, pokażą światu, że lubo w nizkich mieszkają chatach, wysokie i górne myśli w sercach i ostre na zaszczyt chrześcijaństwa a na zgubę bisurmanów noszą przy bokach szable“. Niełatwo jednak wiodła się misya Grzymułtowskiemu: ze strony Rzeczypospolitej dziwne jakieś panowało niedbalstwo, tak że nawet instrukcyi jasnych ani pełnomocnictwa posłom nie dano, a wskutek prywaty niezbyt przykładna zgoda panowała między Grzymułtowskim i posłem ze strony Litwy Marcyanem Aleksandrem Ogińskim kanclerzem litewskim. Grzymułtowski nierad też był ze wszystkiego, począwszy od bankietów uroczystych, na których do picia dawano miód z gorzałką zmieszany, a do jedzenia po zimnych potrawach gorące bez soli, słodkie, aż do samych rozpraw czyli „rozhoworów“ z pełnomocnikami rosyjskimi. Ponieważ Sobieskiemu szło głównie o pomoc przeciwko Turkom, dyplomaci carscy drożyli się i żądali ostatecznego uregulowania granic od strony Białej Rusi i Ukrainy, które po ostatnich wojnach pozostały tymczasowemi. Zarazem traktowano i o wieczny pokój. Targowano się uporczywie i obie strony starały się wzajem siebie prześcignąć w wymaganiach: Golicyn, pełnomocnik carów, a raczej carówny, żądał nietylko formalnego ustąpienia posiadanego już *de facto* Kijowa, ale nadto wymagał Połocka, Witebska, Mścisławia, Orszy i całego kraju aż do Berezyny; Polacy nietylko że o tem ani słyszeć nie chcieli, ale ze swojej strony wymagali zwrotu Kijowa i części Smoleńszczyzny. Negocyacye zrywały się kilkakrotnie: posłowie polscy brali paszporta („rozjezdne pismo“) i zabierali się do odjazdu, ale potem znowu zostawali i traktowali na nowo. Co do pomocy przeciwko Turkom, Golicyn obowiązywał się jedynie do wyprawy na Krym i przyrzekał dać Polsce 200,000 talarów subsydyów, lecz posłowie żądali aż 3, a potem 2 miljonów. W końcu zgodzono się na $1\frac{1}{2}$ miljona i Golicyn poprzestał na ustąpieniu samego Kijowa bez okolic. Polska, oczywiście, nic nie zyskała oprócz pomocy w Krymie, gdzie jak wiadomo, wojska rosyjskie nic zrobić nie mogły; obiecane zaś subsydya podobno nie zostały całkowicie wypłacone. Na takich to warunkach stanął traktat Grzymułtowskiego. Spierano się jeszcze o tytuły. Po długich przecie sporach zgodzono się. Traktat Grzymułtowskiego niepomyślny był dla Polski. Czuli to i spółcześni, a chociaż biskup krakowski Małachowski w przytoczonym na str. 146 liście wychwala dzieło Grzymułtowskiego, ogólna opinija była inną i niezbyt przychylnie przyjęto wracającego wojewodę: choć może on sam nie był winien, ale raczej okoliczności i niedbalstwo dyplomacyi polskiej; zwalono jednak winę na niego, jak to zwykle bywa w takich razach. Doszło do tego, że otwarcie i głośno mówiono o przekupieniu wojewody. Grzymułtowski musiał bronić się na radzie senatu; w obronie tej uwydatnia niezaradność dyplomacyi polskiej, brak instrukcyi; wreszcie niedochowanie przed drugą stroną sekretu przez innych członków poselstwa. Traktat ten był już końcem karyery politycznej wojewody poznańskiego; schodzi wkrótce potem z pola i wkrótce kończy życie. Był to charakter śmiały i energiczny, rozum niepośledni, zresztą typ ówczesnego magnata, nieswobodnego od pychy, dumy, ambicyi i prywaty. „Nie był ani lepszym ani gorszym od wielu innych“ powiada p. Jabłonowski przy końcu książki, którą polecamy wszystkim czytelnikom, jako niezmiernie ważną ciekawą i pouczającą.

Zawiadomienie.

Sroczka, obrazek zaściankowy przez Adama Pługa, wyszedł już na widok publiczny, wszyscy zatem przedpłaciciele raczą się zgłosić do Redakcyi po odbiór zamówionych egzemplarzy. Wydanie tego klejnociku poetycznego jest tak wytworne i staranne że w każdym salonie wśród największego przepychu, zwróci na siebie uwagę. Illustracye układu znanego artysty Wojciecha Gersona, odznaczają się wielkim wdziękiem pomysłu; drzeworyty odrobione z największą starannością, papier prześliczny, okładka cała prawie pokryta wyciskami złoconemi. Sukienka ta godna treści, serdecznie wypowiedzianej w natchnieniu poetycznej podniosłości ducha.

Cena księgarska rs. 6 za egzemplarz, dla Prenumeratorów zaś **Tygodnika Mód i Przyjaciela Dzieci**, nabywających dzieło to za pośrednictwem redakcyi, obniżona o rubla, wynosi rubli 5 bez ponoszenia kosztów przesyłki.

NOWE WYDAWNICTWA.

Zosia z poematu Mickiewicza pan Tadeusz, przedstawiona w obrazie olejnym przez p. Tytusa Maleszewskiego, wyszła w reprodukcyi litograficznej w wielkim formacie nader starannie odrysowana i odbita w zakładzie litograficznym p. Walkiewicza. Urocza dziewczynka w pośród domowego ptastwa, rojącego się u nóg jej przedstawiona jest w chwili, gdy

Czerpie z sita i sypie na skrzydła i głowy,
Ręką jak perły białą, gęsty grad perłowy.

Śliczny ten rysunek mogący ozdobić ściany każdego mieszkania, nabywany za pośrednictwem naszej redakcyi, odsyłany będzie nabywcy bez ponoszenia kosztów opakowania i przesyłki pocztowej.

Biblijoteczki teatralnej dla dzieci, wyszło już osiem komedyjek, a mianowicie Maryi Grabowskiej: 1. Mały nauczyciel. 2. Imieniny Mamy. 3. Pracowite pszczółki. Izdebskiej: 4. Naszyjnik babuni: Mirkowskiej Maryi: 5. Grymaśnica ukarana. Popławskiej Maryi: 6. Macocha. Porębskiego Antoniego: 7. Najlepsze wiązanie. Komedyjki te wyszłe nakładem księgarni polskiej we Lwowie, przedają się we wszystkich księgarniach warszawskich po cenie kop. 25 za jedną książeczkę. Kupujący razem wszystkie płaci rubel 1 kop. 80.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani M. M. Wierszyki nadesłane co do myśli i uczucia są piękne i serdeczne ale nie ma w nich najmniejszego zapału prawdziwie poetycznego który wszelkim utworom wierszowanym nadaje lekkość, swobodę, jakby płynęły z pod pióra. Gdyby był czas do szczegółowego rozbioru, zarzut nasz usprawiedliwilibyśmy lepiej i sama Autorka przyznałaby że mamy słuszność.

Przyjaciela Dzieci Nr 53 wyszedł z druku i zawiera:

Mieczysław i Dąbrówka (z drzeworytem). — Nowy rok (wiersz). — Pogadanki historyczne. — Przejażdżka po Wiśle. — O Fotografji. — Z wiadomości bieżących. w Dodatku: Cudze piórka (z drzeworytem). — Z pobytu w Krakowie. — Pyszałek, Obłuda, Piękna rada, Niewczesny żal (wierszyki). — Która piosenka najlepsza. — Świetlik (z drzeworytem). — Rano. — Leosia.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzewорytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 (27) Декабря 1876 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28)

Dodatek.